



ILUSTROWANY



PRZEGLĄD TYGODNIOWY



Wychodzi w każdą niedzielę
w
Krakowie • Wiedniu • Mor. Ostrawie



Rocznik I.

6. czerwca 1915

Nr. 26.

Redakcja, administracja i ekspedycja
Morawska Ostrawa, ul. Johannowego 5.
Tel. Nr. 163.
Rękopisów się nie zwraca.

Cena numeru 20 halerzy

Prenumerata kwartalna . . K 2:50

Prenumerata półroczna . . K 5—

Ceny ogłoszeń: Cała strona 100 kor.,
1/2 strony — 50 kor., 1/4 strony — 25 kor.,
1/8 strony — 12:50 h. i t. d. Przy kilkakrotnem zamieszczeniu wysokie rabaty.

Z tygodnia.

Na terenie włosko-austriackim, który obecnie szczególnie na siebie zwraca uwagę, walki graniczne stopniowo przybierają coraz poważniejszy charakter, jakkolwiek oczy-

wiście z okresu pierwszych starć straży przednich jeszcze nie wyszły.

W każdym razie trzeba się bliżej zapoznać z tym no-



Niemiecka łódź torpedowa atakuje statek handlowy.



Z walk w Galicyi.

Niemiecka artylerya przekracza w N. Sączu Dunajec na świeżo wybudowanym moście.

wym placem boju, na którym niezadługo rozegrać się mogą ważne wypadki.

Włochy i Austria graniczą ze sobą na przestrzeni przeszło 420 kilometrów; granica ta rozpoczyna się na zachodzie tam, gdzie Szwajcarya, Włochy i Austria stykają kają się ze sobą, i biegnie wielkim łukiem na wschód, skręcając w ostatniej swej części na południe ku Morzu Adrytyckiemu. Większa część pasa granicznego, mianowicie 380 kilometrów, leży w Alpach. Łatwo sobie wyobrazić, że operacje na tym terenie górzystym, obfitującym w góry wysokie i strome, śniegiem i lodem pokryte, ogromne przedstawiają trudności. Już w Karpatach wojska austriacko-rosyjskie pokonywać musiały z niesłychanym wysiłkiem przeszkody, wynikające z górzystego terenu. Rozpoczynające się obecnie walki austriacko-włoskie, toczące się w górach o wiele wyższych, wśród zboczy przepaściastych i lodowców, o wiele większych z natury rzeczy będą wymagać ofiar.

Dla ofensywy włoskiej na terytorium austriackiem niewiele się otwiera dróg przez przejścia, bronione są przez sterczący zewsząd prawie wał alpejski, a te przejścia, bronione są przez najeżone armatami forty austriackie.

Opodal granicy szwajcarskiej, od której rozpoczyna się linia graniczna włosko-austriacka, leży znana przełęcz Styłska, ale droga, która tu prowadzi na wysokości 2760 metrów, wtłoczona jest między góry śnieżne, lodowce i wierzchołki skalne, które dla transportu wojska ogromne przedstawiają trudności. Stamtąd idzie linia graniczna w kierunku południowym przez góry, należące do grupy Ortlera aż do przesmyku Tonale, który stanowi drugie przejście do Tyrolu. W tej okolicy też, jak donosi komunikat włoski, podany poniżej, obsadzili oddziały włoskie, które przeszły do ofensywy, miejscowość Forcella di Montozzo. Nad drogą przesmyku Tonale panuje fort austriacki Strino, który Wło-

si będą musieli zdobyć, jeżeli chcą ruszyć dalej w głąb Tyrolu.

Dałej na południe idzie granica przez grupę gór Adamello, dochodząc w najbardziej południowo-zachodnim zakątku Tyrolu do leżącego malowniczo pośród olbrzymich gór jeziora Idro. Z Lombardyi włoskiej do Tyrolu, którego część południowo-wschodnią nosi nazwę Judikaryi, prowadzi w tym miejscu stara droga, wygodniejsza od tamtych przesmyków, chociaż i tu forty austriackie bronią przejścia. Było w każdym razie do przewidzenia, że tu właśnie Włosi próbować będą wtargnąć do Tyrolu i istotnie donosi komunikat włoski o zajęciu Ponte Caffaro niedaleko Condino, które właśnie leży nad ową drogą. Dalsza granica południowa Tyrolu prowadzi przez słynne jezioro Garda. Możliwym byłby tutaj teoretycznie atak Włochów na statkach, ale w praktyce wobec stromych wybrzeży jeziora, przedstawiających doskonale pozycje dla Austriaków, byłoby to przedsięwzięcie zbyt ryzykowne.

Na wschód od jeziora Gardy napotykanym na historyczną »bramę« z Włoch do Tyrolu w dolinie Adygi, wzdłuż której idzie linia kolejowa Brennera. Tutaj również posuwają się wojska włoskie, jak o tem świadczy doniesienie komunikatu o zajęciu okolicy na północ od Ferrara di Monte Baldo, która to góra leży na wschód od łożyska Adygi.

Od doliny Adygi biegnie granica włosko-tyrolska w kierunku północno-wschodnim przez Dołomity trydenckie aż do wierzchołków Alp Karnijskich. W południowej części tej linii granicznej w niezbyt wielkiej odległości od doliny Adygi leży góra Pasubio, o której także wspomina komunikat włoski. Na całej tej przestrzeni granicznej, która tworzy wschodnią stronę wysuniętego na południe trójkąta tyrolskiego, jest kilka dróg, ale bez wyjątku trudnych do przebycia. Jedną z głównych jest dolina rzeki Brenty, której przesmyki i wzgórze Włosi też według ich własnego komunikatu obsadzili.



Tureckie wojska na Gallipoli w oczekiwaniu wroga.

Na północy kończy się granica Tyrolu, a zaczyna się granica Karyntyi, również wśród gór olbrzymich. Tutaj dochodzimy do przełęczy Ponteba-Pontafel, przez którą prowadzi kolej z Wiednia do Wenecyi, tej drogi jednak strzeże potężny fort austriacki Malborghet.

Powoli zniża się dalej ku południowi granica ku dolinie weneckiej, przez którą ostatnia część linii granicznej biegnie równolegle do brzegów Isonza aż do Adryatyku. Leżą tu miasta Gradiska i Gorycya zupełnie nieosłonięte od strony włoskiej. To też kwestya, czy tu Austriacy będą stawiali opór, czy też raczej nie cofną się do położonych dalej na wschód gór Karstu.

W ostatniej chwili po zamknięciu numeru dostaliśmy radośną wieść, że Przemyśl po paromiesięcznym panowaniu rosyjskiem, przeszedł ponownie w posiadanie wojsk austriackich. Oby to była ostatnia karta losów tej twierdzy.

W noc księżycową.

Najdroższym Synom Ojczyzny,
Legionom Polskim tę pracę poświęcam.

Złociste promienie słońca gasną nad miastem. Na widnokręgu niebios ukazuje się purpura zorzy wieczornej i pada w blasku czerwonym na dachy domów i pól lany. Za małą chwilę zmierzch. Słodki i przedziwny zmierzch wieczoru majowego! Myśl ludzka, jakby w natchnieniu, biegnie aż po najdalszy kres wspomnień... O zmierzchu czarodziejski! Ty, moją duszę, niby w sieć pajęczą, oprzędasz w osnowę tęczy uroczej i przed jej oczyma tkasz obraz przelotny, jakby gobelin przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Oto tam na polach dalekich i bliskich nieprzejrany bezkres, pełen kurkanów. Leżą w nich ciała bohaterów. Na wieki ujął ich sen żelazny... Noc jasna i cicha! Błady promień księżycy radby się wkraść przez szczeliny grobowców

ustronnych i dotknąć się piersi rycerzy śpiących, potem ust, a następnie głów. Chciałby naprzód poruszyć w nich serce szlachetne, później zbudzić słowo i myśl polską. Lecz znużone w straszliwej walce ich ciała, usnęły na wieki. Tylko duchy wysunęły się czyste i świetlane z objęć materii i uleciały gdzieś w przestworza... hen, kędy majowe kwitną pola, kędy woń kadzidel, lilii białych i róż się rozlewa, hen, kędy przecudna muzyka brzmi wokół, a prelud hejnału płynie wyżej i wyżej, hen, kędy wieczna nieśmiertelność!... Opoadał mogil rosą krzewy. Z daleka olchy majaczą w ołowianej mgle. Na murawach leśnych widać korowody nimi, którym faun przygrywa na flecie. — Księżyc wzbija się wyżej, coraz wyżej i wyżej... Po rozlogach pól wije się srebrna wstęga rzeki i widać szare szlaki dróg. Na bagnach błędzą ogniki wodne, jakby światełka lotne a tajemnicze. Z ogrodów łąk i pól rozchodzi się woń kwiatów i traw, niby dymy pachnące z kadzielnic kościelnych. Lecz dusza skrzydlata, lżejsza od woni kwiecica, a szybsza od światła leci hen dalej. Przed jej oczyma mkną obrazy żalobne, jakby na czarnym kirze utkane. — Oto chwila smutnej przeszłości — wizya martyrologii narodu polskiego! Zdało się, że bezsłoneczna szara noc rzuciła cień na serca nasze. Pociemniała ziemia rodzinna, zamroczyły się oblicza wód. Drzewa, pełne szeptów złowrogich kryły przed nami smutną tajemnicę. Wichur tylko uderzył w kosmate piersi boru, szarpał z nich hymn ponury, niby przez groby pokoleń śpiewany i niósł melodyę daleko, daleko, w bezkres... Przez ziemię polską szedł wolny rytm znużenia, jakby ciężki oddech staruszka; faldował sennie, rozpękał tam w dali bolesnym akordem i splotwał przez nasze nerwy tak groźnie, jak splotwa na morzu huragan fal, bijących o skały nadbrzeżne.

W tem życiu, które było przed nami, coś bezpowrotnie odeszło za błękit, biorąc ze sobą radość tej ziemi. Na jej miejscu zostały trzy posępne siostrzyce: smutek, żal i zgro-

Tryumf postępu.

Na klinice wiedeńskiej znajduje się pacjent pozbawiony zupełnie dłoni i stóp. — Dzięki jednak olbrzymiemu postępowi w tej dziedzinie potrafią zastąpić mu je sztucznymi opami i dłońmi (protezami), dzięki którym może on chodzić nawet po drabinie — a na spacerze nie można wcale poznać, iż to kaleka bez nóg i rąk.



za! Wloczyły się, niby walkiry wśród wicharów wieczornych, wśród mogił, gęsto na ziemi rozsianych i bram cmentarnych, porosłych zielskiem, gdzie z warkoczy brzoź płaczących płynęły krople rosy, jakby krwawe człowieka lzy... Niewidzialne jakieś dzwony bily w błękicie, niby na wielkie egzekwie. Dreszcz straszny, jak skarga okrutna i ból niezmierny przesywał ciała człowiecze, przenikał głębię serc, wbijał się w mózg i myśl, jakby wampir, ssący krew ludzką. Głuchy łoskot, rzucanych grudek ziemi, niby na wieko trumny, w której chciano zamknąć myśl wieczną, myśl królewską, ideę niepodległości Polski, zdawał się milknąć na zawsze. — Jak błyskawica na nieboskłonie mknie szybko, tak zdała się, przebysła prędko i spaliła się nasza nadzieja, nasze marzenia uroczę, ostoja i cel nasz jedyny! Ale wnet zadzwoniły godziny myśli i czynów... Odczuwał się stary Zygmunt na wieżycy. Nadeszła chwila osobliwa. Zagrzmiął »złoty róg«, a na jego mocarny głos spotężnił się duch narodu. W dniu bowiem 16. sierpnia 1914. roku utworzono Legiony z komendą polską. Wyszły one z orężem w rękę w świat szukać prawdy i życia nowego dla ojczyzny! Chlubą naszą jest siwy mundur, narodu tętnem polska broń, co na polach Królestwa Polskiego i wśród borów Karpat kreśli nową historię narodu polskiego. Nie jest oręż ten legenda, lecz dźwięczy znowu, jak dawniej, śmierć niosąc wrogowi.

A wyostrzyła go żywa tradycja bojów z Rosją na nowo, wyostrzyła na chwałę, cześć i zwycięstwo Polski! Wszędzie bowiem było dotąd ciemno i pusto. Ponura krucz załęgła naszą ziemię, gdzie przemoc brutalna chciała zdławić żywy organizm. Tylko nędza, niby złowrogie widmo upiorne, chodziła od chaty do chaty i pila gorzkie ludu lzy... Nadeszła okrutna walka tytanów, jak burza straszna i huragan olbrzymi — walka na śmierć i życie!

Porwani jej prądem, ujrzelśmy wnet całą ziemię rodziną, lejącą przez ciemność czasu, niby okręt płonący przez ocean burzliwy, a za nią wichry ogniowe, luny po-

zarne i deszcz kul stalowych. Wokół niej widać światy rozbite, jakby rozprysk krople wezbranych fal. — Ale dusza człowiecza, niby w ekstrakcie duchowej, buja po przestworzu, dosięga nieboskłonu. Kraina marzeń spiętrza się pomalutku. Widać już pasma gór! W ciasnych wąwozach tań się mrok i chłód. Czuć coś trugiego i cmentarnego. Wśród szczelin skalnych nocują gęste taśmy mgły i obłoki. W mogiłach śpią cicho bohaterowie. Jaka tu glusza! Wiatr tylko, co jeszcze nie usnął, przygrywa im pieśń słodką, nuci pienia żalobne, potrąca lekko liśćmi, i gałązkami drzew, które chylą się w pokorze przed cieniami poległych. Na szczytach gór, gdzie widać śnieg wieczny, kładzie się do snu księżyc. A duchy, które tu stanowią żywe istoty, błądzą po ustrojach górskich w przestrzeni i pustce, roztopieni w ciszy, krążą nad przepaściami, lecą znów dalej i dalej, oddani rozkoszy lotu, aż wracają korowodem na swe miejsca cmentarne, niby do Walhalli. Pierzchła kraina górzysta, jak senne marzenie, znikły majaki i widma upiorne. Aż tam w dali słychać jakieś szmery tajemne, niby zwierzyzna, skradająca się po zeschniętych liściach boru, niby echa nawoływań, odbite wielokrotnie od stromych skal wybrzeże lub harce topielic, porwanych wirem fal. To właśnie morze! Ono zawsze bezsenne, fałtuje ustawicznie. To raz wzdyma swe płuca olbrzymie, to znowu je ściąga, sapiąc, niby miech potworny; czasem znów jęczy straszliwie, jakby w skardze okrutnej lub bije falą, co pryska tysiącem kropel, wydając jeden akord rytmiczny: plum, plum! plum, plum! — Siwą bezden morską oświetla błądy księżyc i niezliczone roje gwiazd, co jakby lampki migotliwe zwisają u stropu niebios, upiększonych jeszcze taśmą drogi mlecznej. Tam pragnie dusza ludzka lecieć wyżej, jeszcze wyżej! Chce zostawić ziemię i morze, przedrzeć się przez chmurki, zbłąkane na firmamencie i dostać się w przestworza świetliste, w bezmiar eteru i granic przestrzeni, gdzie widać już czerwone pola księżycy głuche, mroźne i martwe. Jaka tu cisza! Niczem są cztery ściany grobowca. W sferze obszaru nieskończonego myśl mdleje i nie obejmuje okiem



Z francuskiej widowni boju.

Minister wojny Millerand, obserwuje stanowisko nieprzyjaciela.

wszystkiego dusza, na którą wionie chłód pustki bezdennej, kruczy trwożliwej i życia zaświatowego. Tu księżyc, ów tulacz wieczny o blade-trupiej twarzy krąży wokoło globu ziemskiego, tam zaś inne korowody gwiazd wirują w przestrzeni; a każda z planet ma swą drogę przeznaczoną, każda mruga swym światłem jaśniejszym lub ciemniejszym. — Czas jednak wracać z wyżyn wszech bytu. Czas dotknąć nogą ostrych i granitowych skal życia, gdzie pełno bólu, lez i cierpienia, gdzie niedola i nędza włoką swe płachty krucze, zagładając w progi domowe. Tu miliony czekają na isierkę znicza Prometejowego, mającego zapalić kotwicę nadziei w przyszłość dni świetlanych i pobudzić serca płomienne do radości, do wesela. Wróc przeto duszo natchniona z nieskończoności błękitu — wróc rozpromieniona i rozśpiewana! Przez lotne puchy chmur i obłoków niebios wróc! Tam w dole ziemia rodzinna — widzisz? Ziemia, zroszona obficie krwią i użyźniona kośćmi poległych. Ona zrodzi owoce bytu lepszego. — Ale noc blednie. Księżyc zapada gdzieś w nieskończonościach. Mająca już garby gór, ukazują się lasy, spowite tumanem mgły. Bieleją pola i sine wstęgi wód. Zmierzch nocy znika. — Ha, pieje kur.... Już dnieje... Na niebie zorzy świt.... Upragniony i słodki świt! Z opłotu nocy i mgieł, wylania się jutrzeńka, wtlaczająca się na szare, mętnawe jeszcze niebo. Posuwa się wciąż naprzód i coraz szersze obejmuje kręgi. Pyskają nocy gęste cienie, kryjąc się w pustkowiach samotnych. Czarniawy horyzont rozwidnia przedświt, a hen daleko błękitnieją i różowią nad Polską obłoki przecudne. Jaśnieją coraz silniej i jaskrawiej, by wreszcie załśnić purpurą i złotem. Z powicia nocy czarnej wychodzi przejasny Dzień.... Słysze, jak z radości szumią drzewa korony, jak olbrzymie kołyszą się zbóż lany, szeleszczą trawy, łąki i sitowia, jak szemrzą strumyki i rozbrzmiewają zbudzonego życia pogwary. Słysz, jak na wieżycy bije dostojny Zygmunt. Biję woino



Kontrola konrbandy na słatkach. Przy pomocy promieni Röntgena bada się worki z bawelną, aby się przekonać czy nie ma wewnątrz ukrytej konrbandy.

a jego głos dźwięczny i rytmiczny, niby aniołów chóry, płynie z falą wichrów i lasów poszumem aż na biodra i wierzcholki Tatr. Zbudzone ptaszęta, pinkając w locie, śpiewają również pieśń przedziwną. Echo jej przebija bory, łącząc się w jedną, akordną i rozkoszną melodyę żywiołów, co uderzyły w gęśle swoje i harfy zlotostrunne. I płynie cudna radości pieśń, ziemi polskiej dźwięk, ducha narodu wiew i rozgwar milionów serc, wesela hymn, mocarny Legionów Polskich głos i tonów wszystkich chór, grając hejnał ku czci wielkiego a doniosłego w dziejach Dnia... Głównie przeto i wszędzie w Polsce niech myśl się uniesie! I poza granicę niech idzie z wichrów poszumem cześć dla Legionów i Polski zwycięskiej, a niepodległej!!

Franciszek Józef Tryszczyła.

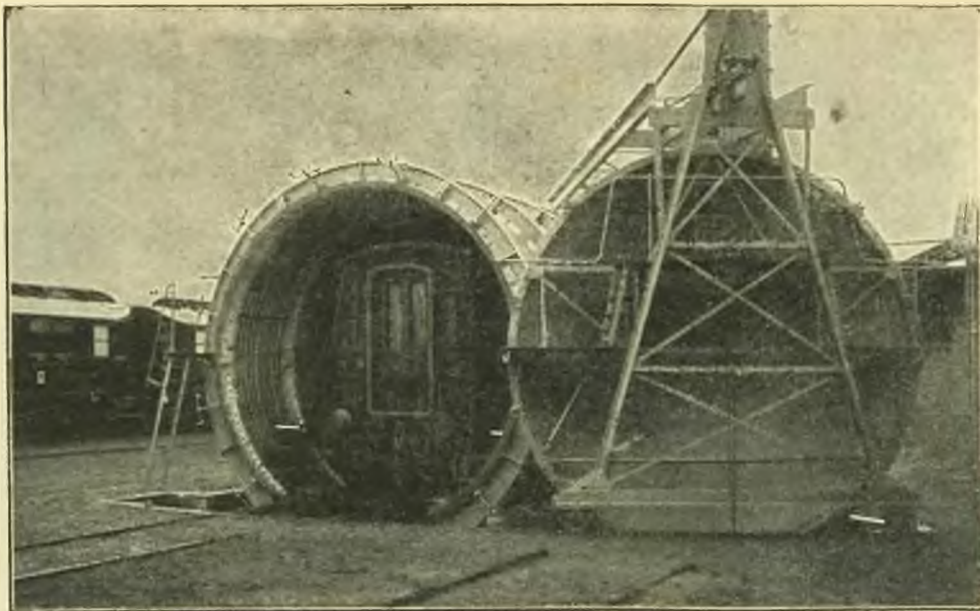
Z dziejów Konstantynopola.

Trójporozumienie, przystępując do forsowania Dardaneli i Bosforu, pragnie zawładnąć Konstantynopolem, aby przerwać nić panowania tureckiego w Europie. W tej wielkiej tedy chwili dziejowej myśl mimowoli cofa się wstecz i wspomina ów moment przelomowy w historii Europy, gdy przed wiekami (1453) Konstantynopol padł pod ciosami Mahometa drugiego i półksiężyc zatryumfował nad krzyżem.

Zaloga Konstantynopola składała się wówczas tylko z 5000 żołnierzy greckich i 500 ochotników weneckich i gienueńskich. Armia zaś Mahometa II. liczyła 180 tysięcy głów. Wobec tak przeważającej potęgi tureckiej Konstantynopol prędzej czy później skazany był na upadek, liczone jednak na to, że załoga długo opierać się będzie za murami, które na owe czasy uchodziły za szczyt architektury fortecznej. Były one niesłychanie grube

Urządzenie do dezynfekcji zakażonych wozów kolejowych.

Aby mógł wozy oczyścić z robactwa i odkażić z zarazków chorobowych zbudowano w Poczdamie urządzenie składające się rodzaju wielkiej rury, do wnętrza której wjeżdża cały wagon



Widok urządzenia dezynfekcyjnego od zewnątrz — z stojącym w środku wozem kolejowym. Rura ta następnie zostaje szczelnie zamknięta i wypełniona parami bezpośrednich środków odkażających

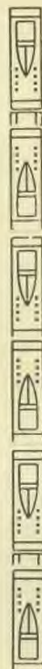
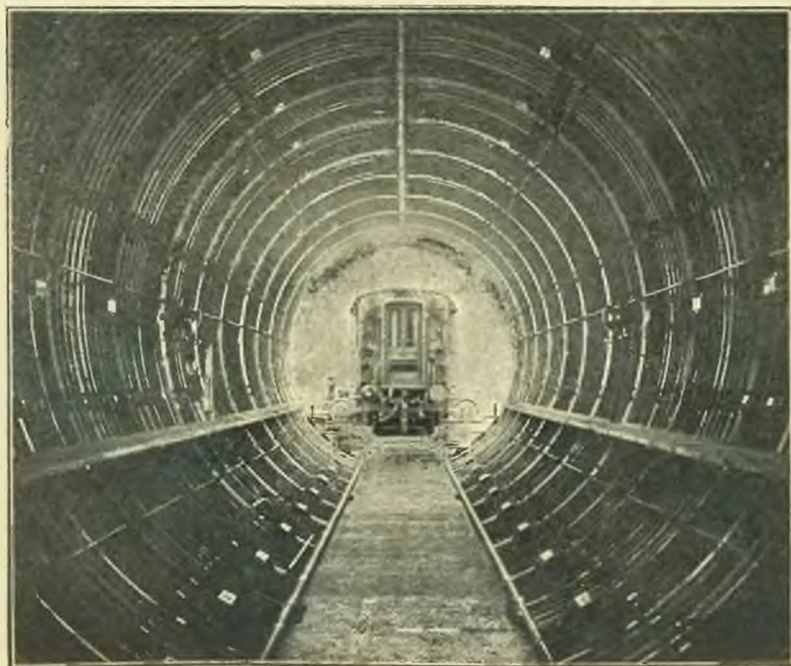
i miejscami na 27 metrów wysokie. A jednak padły, a co na owe czasy najznamienniejsze, padły pod piekielnym ogniem artylerii tureckiej, która tu po raz pierwszy użyła nowych o nieznanym dotychczas wielkości i sile dział obłężniczych. Mahomet II. sam był inicjatorem tej wielkiej reformy w technice armatniej. Oto, co o tem pisze znakomity znawca historii bizantyjskiej, francuski historyk Gustaw Schlumberger:

Sułtan Mahomet był w historii pierwszym władcą, który rozporządzał prawdziwym parkiem artylerii. Wielka średniowieczna stolica chrześcijańskiego Wschodu, odwieczna stolica dziedziców Rzymu, do tej pory uważana za niezdobytą, była pierwszym miastem, które upadło wyłącznie wskutek działania tej nowej broni, mającej w krótkim czasie wywołać przewrót w całej sztuce wojennej: żywiołu-artylerii. Olbrzymia stolica »bazyleu-

sów« i jej mury nie uległy atakom nieczniernej armii Mahometa, przeciwnie, podwójne jej mury i ludność grecka opierały się tym żołnierzom zwycięsko, lecz tylko olbrzymie kamienne kule, wyrzucane przez potworne brązowe działa Mahometa, zdołały poczynić w tych murach teren do ataku dla batalionów tureckich.

Zapewne, że nie było to pierwszy raz, kiedy się posługiwano artylerią przy zdobywaniu miasta. Ale nigdy jeszcze nie działo się to na tak wielką skalę, tak co się tyczy kalibru, jak i liczby dział, i nigdy jeszcze sama armia nie odgrywała przy tem tak drugorzędnej roli. Nagle »od jednego zamachu«, artyleria stała się do zdobycia miasta niezbędną, niezmiernie ważną, prawie jedyną.

Współczesny historyk Krytobulos z pochodzenia grek, ale wierny podany Mahometa, opisał tę straszliwą artylerię, nawiasem mówiąc, stworzoną dla sułtana przez



Widok wnętrza otwartej rury gotowej do przyjęcia wozu kolejowego. — Czarnogórska placówka obserwacyjna na drzewie



Jeńcy rosyjscy i serbscy w pewnym obozie jeńców. — Wzlot samolotu niemieck. celem zbadania pozycji wroga pod Warszawą.

inżynierów chrześcijańskich. Sultan — opowiada Krytobulos — rozstawiwszy wojska, wołał puszkarczów i rozmawiał z nimi o ich machinach i o stanie murów, które zamierzał zburzyć. Pytał, jakie należało zrobić działa, aby zburzyć te sławne baszty. Inżynierowie odpowiedzieli, że byłoby łatwo je zburzyć, gdyby, prócz armat, jakie już miał, sporządził na miejscu jeszcze większe, ale że do ułania takich kolosów, mających wyrzucać tak wielkie kule kamienne, potrzeba też dużo pieniędzy, a przede wszystkim brązu. Sultan kazał im w tej chwili dać wszystko, czego potrzebowali, a oni natychmiast zabrali się do dzieła i wybudowali te maszyny potworne, tak straszny przedstawiające widok, a w których istnienie trudno uwierzyć, jeśli się ich nie widziało na własne oczy.

Krytobulos opowiada, w jaki sposób odlewano te ogromne działa, następnie pisuje, jak z nich strzelano. Nabijano je najprzód wielkim ładunkiem prochu, który przyciskano przybitką drewnianą, poczem wpuszczono w lufę kulę, zapalono proch. Ten zapalał się prędzej, niż myśl. Najprzód dawał się słyszeć straszliwy ryk, któremu towarzyszyło trzęsienie ziemi i huk niesłychany. Jednocześnie z olśniewającym blaskiem i okropnym hałasem przy wybuchu płomienia i gęstego dymu, eksplozja prochu wyrzucała daleko kamienną kulę, która, przecinając powietrze z błyskawiczną szybkością, uderzała w mur z piekielną siłą. Druzgotała go strasznie, dziurawiąc i obalając, miążdząc na tysiące kawałków i siejąc śmierć dokoła.

— ten sposób — opowiada dalej Krytobulos — masa marmuru lub kamienia, której działanie zestokrotnione jeszcze było przez nabytą siłę, obalała ogromny kawał muru, a czasem porywała pół baszty. Nie było materiału, któryby mógł się jej oprzeć, w najgrubszych murach nie było materiału dość twardego, któryby mógł stawić opór temu straszному uderzeniu.

Te olbrzymie działa czyli »bombardy« wyrzucały wielkie glazy, które sprowadzano z nad Morza Czarnego. Największe działo strzelało siedem razy dziennie, raz zaś w nocy, ponieważ samo już nabicie wymagało dwóch godzin czasu. Po każdym strzale okrywano działo natychmiast welnianymi kocami i lano w lufę oliwę, której dostarczali neutralni gienueńscy z Galaty. Mahomet, który zdaje się był bardzo zdolnym artylerzystą, odrazu wpadł na pomysł koncentrowania ognia na słabych punktach

twierdzy. Nie wiadomo, ilu działami rozporządzał; artylerję jego obliczano na dwieście sztuk.

Obrońcy Konstantynopola byli przygotowani na wszystko, nawet na śmierć bohaterską, nie spodziewali się tylko tego, że mury runą. To było dla nich ciosem najcięższym, a pociągnęło za sobą i wyczerpanie, jako następstwo nicustannego naprawiania rozbijanych murów. Nareszcie powstały luki takie, że cała ludność miasta zapelnąć ich nie mogła... Wówczas z ogłuszającym biciem w bębny i okrzykiem »Jagma! Jagma!« ruszyli do ataku jańczary...

Sтамbul padł — na Aja Sofii zabłysnął półksiężyc...

JÓZEF GAŁUSZKA.

Królowo Polski!

Królowo Polski! Dziś na całym świecie niosą Ci w dani świeżej wiosny ziele; Twoje ołtarze najbiedniejsze dziecię stroi barwnymi kwiaty w kościele; tylko my jedni przed Twój ołtarz złoty nic — z ziemi polskiej nie niesiem — sieroty.

Jakież Ci dzisiaj nieść możemy dary? Gdy kraj pustynią, jak długi, szeroki, gdy wszędy zgłiszcza, luno i pożary i krzyż mogilny, aż hen — pod obłoki... Cóż za ofiarę z tej ziemi grobowej dać Ci możemy — Lechitów królowej?

Chyba krew polską i lzy polskich dzieci i my wygnańcy oddamy się sami; krew w Twej koronie rubinami zaświeci, a lzy jasnymi błysną brylantami; my, przed Twym tronem z pochyłą głową, zwać Cię będziemy — wygnańców Królową!

I nasze serca złożym — my sieroty, u stóp Twych — pełne ufności, nadziei, że po dniach męki, łez, krwi i Gołgoty dni Zmartwychwstania zabłysną z kolei, że kiedyś do Cię — jutrenką różową wolać będziemy: Wolności Królowo!

Maj, 1915.

Więści z wygnania.

Wiedeń. Zeszły tydzień upłynął w Wiedniu pod znakiem licznych demonstracji przeciwko Włochom, które swą perfidną polityką doprowadziły do nowej wojny, do nowego krwi rozlewu. Pod ministerem wojny i pod konsulem niemieckim odbyły się zebrania, kończąca się pochodem przez ulic miasta. Demonstranci nosili tablice z napisami: *Prez z Italią!*

Równocześnie ukazała się na ulicach miasta odezwa cesarza: „Do Moich ludów .

Ostatnie zwycięstwa w Galicyi wwały nową otuchę w zbolełe sercu naszych wychodźców, z których niektórzy zaczynają nawet robić wstępnie przygotowania do wyjazdu, a może wkrótce i my wszyscy wrócimy do kraju, cpuszczając z lekkim sercem gręcinny Wiedeń.

Przypuszczam, że Wiedeńczykom też z naszym wyjazdem lekko się zrobi na sercu, a'e też i — w kieszeni... M. F.



Żołnierze niemieccy w zgodnym pożyciu z ruskimi dziewczętami. Jak widzimy potrafili oni je już tak dalece „wymancypować“, iż palą one papierosy.

Drobne wiadomości.

Obrazek z czasów pobytu Moskali w Rzeszowie.

Senzację wywołały w mieście rewizje nocne dokonywane w prywatnych mieszkaniach pod pozorem szukania „Austriaków“. W ten sposób przeszukano mieszkania lekarza sztab. dr. Szymkowskiego, w którym podobno miano pochwycić przebranego podoficera austriackiego. Z mieszkania dra Schaittera, otoczonego w nocy wojskiem zabrano żołnierza Tyrolczyka, który tutaj schronił się i znalazł przytułek przez kilka miesięcy. Powtórnie zrewidowano dom p. Schajttera dnia następnego i znaleziono kompletne umundurowanie podoficera strzelców cesarskich.



Z walk w Galicyi.

Zarekwirowane przez wojsko konie huculskie.

Rewizje te były następstwem donosów do władz rosyjskich ze strony niejakiego Antoniego Vorela Czecha, dezertera z wojska austriackiego (służył przy strzelcach tyrolskich), który również korzystał z gościnności dra Schajttera. Vorel wszedł w stosunki z władzami policyjnymi Rosyan (ochrona urzędowała

w Rzeszowie), stał się ich poufny informatorem i bez wszelkich osłonek i skrupułów wskazywał na ulicy w jasny dzień policyantom rosyjskim t. z. przez studentów „nahajtrajberom“, przebranych żołnierzy austriackich. Liczba osób, w ten sposób wydanych była bardzo znaczną a w gronie przez Rosyan pojmany znaleźli się także wszyscy ci, którzy żołnierzy austriackich przebierali lub im jakąkolwiek pomoc nieśli.

Powszechnie mówiono, że ten sam los spotka najbardziej obciążonego zeznaniem Vorela, dra Schajttera, jednak widocznie zbyt śpieszny odwrót Rosyan uchronił tego lekarza przed surowością prawa wojennego.

Austriackie pałace we Włoszech. Pisma włoskie wzywają rząd, aby odebrał obecnie dwa wspaniałe pałace, które są własnością rządu i dworu austriackiego. Jednym z nich jest t. zw. „Palazzo di Venezia“, siedziba austro-węgierskiego poselstwa przy Watykanie, nabyta w r. 1797 przez rząd austriacki. Jest to jeden z najpiękniejszych i najstarszych pałaców w Rzymie. Budowę jego rozpoczęto w r. 1455, w stylu przejściowym do renesansu florenckiego, dla kardynała San Marco, późniejszego papieża Pawła II.

Willa d'Este, słynny pałac w stylu renesansowym w Tivoli pod Rzymem, przeszła drogą spadku jako należąca do dziedzictwa dynastji modeńskiej książąt Toskańskich, po śmierci arcyksięcia Franciszka Ferdynanda d'Este na własność austriackiego następcy tronu arcyksięcia Karola Franciszka Józefa, który dziedziczy także tytuł księcia d'Este. Willa ta zbudowaną została w r. 1549 dla kardynała Ippolito d'Este, syna księcia Alfonso I z Ferrary za rządów Lukrecji Borgii przez budowniczego Pietro Ligorio.

Zniszczenie Kalisza. „N. Ref.“ zamieszcza następujący opis zniszczenia Kalisza, który to opis w znacznej części jak zwykle uległ konfiskacie, tak iż trudno sobie wyrobić obraz klęski. Prawdopodobnie dopiero po wojnie będziemy w możności zdarzenie los odpowiednie sobie uświadomić i osądzić.

„Dojeżdżamy do Kalisza. Nie bez silnego wrażenia



Z walk w Karpatach

Niemiecki kawalerzysta na wywiadzie w typowej wiosce karpackiej.

wysiadamy na dworcu tego miasta, nad którym tak strasznie zaciężyły wygadki wojenne.

Dworzec, niegdyś zniszczony, prawie zupełnie naprawiono. Udamy się w stronę miasta, oddalonego od dworca niemal o wiorstę i na razie nie spostrzegamy śladów zniszczenia. — Dopiero w pobliżu rynku przy ulicy Wrocławskiej, spostrzegamy pewne domy spalone. — Posuwamy się dalej i przekonujemy się wkrótce, że prawie całe śródmieście jest jedną kupą zgliszcz.

Wiele się czytało i słyszało o losach Kalisza. Najwiarygodniejsze informacje zawiera książka Grabca, uczestnika wypadków sierpniowych, poświęcone wyłącznie opisowi tych wypadków i po tej stronie linii bojowej, niestety, bardzo mało rozpowszechniona.

(Skonliskowano)

Minąwszy rynek i skręciwszy w którąś z bocznych ulic, przekonujemy się, że jednak nie całe miasto uległo zniszczeniu.

(Skonliskowano)

Część więc miasta i to, jak się okazuje, dość znaczna, ocalała.

Uległy spaleniu następujące ulice: część Wrocławskiej (od dawnych rogatek do rynku), Rynek Stary, Warszawska (do cerkwi, z wyjątkiem domów), połowa Kanonickiej, Maryańska, Plac św. Józefa, Rzeźnicza, Browarna, Franciszkańska, Św. Stanisława, Piekarska, Piskorzewska (w połowie), Garbarska, Grodzka Nowogordowska (częściowo), Krótka, Żydowska, Rozmarek, wreszcie kilkanaście domów na Dworzeckiej, Lipowej i na ul. Widok. Przy niektórych z tych ulic, zniszczonych doszczętnie, jakimś cudem ocalało parę domów. Spłonął również piękny gmach teatru miejskiego przy wejściu do parku, jedyny budynek teatralny, wzniesiony kosztem miasta, nietylko

w Królestwie, lecz nawet w całym państwie rosyjskim.

Ocalały budynki rządowe, z małymi wyjątkami. Ocalały też kościoły. Spłonęły tylko zabudowania klasztorne kościoła Reformatorów, na samym zaś kościele spłonął dach, wobec czego ułożono prowizoryczną. — Ocalał też gmach Tow. wzajemnego kredytu, oraz nowy gmach Banku handlowego.

Ponieważ wskutek walenia się resztek domów zachodziły nieszczęśliwe wypadki, przeto od pewnego czasu powierzono oddziałowi pionierów wysadzenie dynamitem resztek spalonych, a najbardziej zagrożonych domów. — W tym celu przeprowadzono przez miasto kolejkę dla wywożenia gruzów za miasto. Grzy służy do budowy dróg i szos w kaliskim.

Odbudowa Prus wschodnich.

Pisma berlińskie donoszą, iż rząd niemiecki już rozpoczął wszystkie wstępne kroki, zmierzające do jak najszybszego odbudowania zniszczonych przez Rosyan miast i wiosek w Prusach wschodnich. Centralne biuro budowlane mieści się w Królewcu; kieruje nim tajny radca budownictwa Fischer. Dotychczas w Prusach wschodnich utworzono 13 doradczych biur budowlanych, a na ich czele stoją zamianowani powiatowi architekci, którzy kierować będą odbudową zniszczonych miejscowości.

Tak się dzieje w Prusach. A czy rozpoczęły jakiekolwiek kroki w tym kierunku w krajach gorzej od Prus dotkniętych wojną? W Król. Polskiem i Galicyi.



Oboz jeńców angielskich w obozie Tellow pod Berlinem.

Reaktywowanie władz w Galicyi. „Kur. Wied.” donosi do Sambora, Starego Sambora, Drohobycza, Krosna, Brzozowa, Jasła, Rzeszowa i Sanoka, że udali się już urzędnicy starostw, by objąć w tych miastach urzędowanie.

Na starym gruncie.

Powieść

przez

M. Febroniusza.

2)

Czy nie dowiedziała się o tem matka przez jaką usłużną przyjaciółkę? I ona raz pisała list, zamknięta na klucz — list, który był cały zalaty łzami, i od tego czasu mocne dotąd jej zdrucie zaczęło szwankować. Syn odpisał jej przecież bardzo, bardzo kłiwie i wdzięcznie. Przyrzekał, że panować będzie nad sobą, obiecywał nawet powrót wcześniejszy, niż to było zamierzonym, i dodał, że nawet do Włoch już nie pojedzie.

— Lepiej mi wrócić do was, na wieś naszą... w nasze zdrowe powietrze — pisał. — Tu inaczej, tu nie tak łatwo żyć... tu wreszcie nie ma was: ciebie, matko moja ukochana, i ojca...

— A czy nie wygnał on mnie z serca swego?... Czy mnie już od niego nie odrzucił? — Ta myśl mnie truje, ta myśl mnie dręczy... Czasem się zrywam, aby jechać już ślad, ale bierza mnie wzroga na myśl, jak stanę przed nim... jak on mnie przyjmie?

W tych to czasach właśnie, przyszła śmierć matki. Syn rozpaczal, ale był wtedy w Algierze i powrócić natychmiast nie mógł. Na iież zęście, droga prowadziła przez Francję, stacją konieczną był Paryż, a Stanisław już teraz nie przebywał, a przynajmniej nie przebywał głównie w tych kolach, wśród których obracał się po przybyciu tam z kraju. Ale teraz ojciec już kazał mu wracać i wrócił też bez oporu, choć zwlekając leniwie. On sam tego pragnął, zdawało mu się, że zostawi poza sobą to wszystko, co czuł, że zrzucić powinien, co nawet ciążyło mu boleśnie, co go piekło, jak szata Dejaniry. Ale nie tak to łatwo zwlec ze siebie skórę niby zewnętrzną: poznał, że przyrasta ona do ciała. Na wsi rady sobie dać nie mógł; męczył się, a ze sobą męczył i ojca, aż raz rozmówili się stanowczo. Ojciec, który w skrytości przechodził katusze, wyzwał go na to, i kazał mu być otwartym, syn też wypowiedział się szczerze, że nie zioła wytworzył długo w takim życiu, jakie wiedzie.

W Warszawie będzie mu lżej. Zamitowania do roli wyrobić w sobie nie może, ale urząd prawny, zawód adwokata może mu otworzyć pole uczciwej działalności. Spotka tam dawnych kolegów; podadzą mu ręce, w ich kole wciągnie w pierś dawne powietrze, odetchnie tą atmosferą, której tu znaleźć nie mógł.

Ojciec przystał. Był bardzo błąd przy tej całej rozmowie, był bleśszy jeszcze, gdy ten jedyny syn wyjeżdżał do Warszawy teraz już, aby tam osiąść, ale pożegnał go spokojnie. Już nie bywało teraz między nimi dawnej czułości, teraz ojciec nie otwierał odjeżdżającemu objęć i syn w nie nie padał.

A przecież Stanisław pragnął tego, o! jak pragnął... Duma go wstrzymywała, ta sama duma, która kazała ojcu udawać chlód. Gdyby była między nimi dwoma ta, która odeszła od nich z rozdarciem sercem, wszystko byłoby się skończyło inaczej... inaczej.

Syn byłby pozostał w domu — byłby z głową złożoną na kolanach macierzyńskich wyplakał swój żal, swój ból serdeczny, byłby się w łzach tych obmył i otrzymał taką absolucję, jakiej mu było potrzeba, aby powstał od ucałowanych nóg matki innym, dawnym człowiekiem.

Nie było jej przecież, więc odjeżdżał — jednak odjeżdżał z mocnym postanowieniem dźwignięcia się do nowego istnienia. Rękę ojcową pocałował z uszanowa-

nieniem na pożegnanie i gdyby te usta, które w tej chwili dotknęły lekko jego jasnych włosów, były się przycisnęły silniej do jego głowy, gdyby był je uczuł na czole swoim — życie jego byłoby poszło inaczej.

Było to we wrześnie, wkrótce po żniwach, po sprzęcie, który napełnił stodoły i wznosił brogi na gumnach starowiejskich, a na które on patrzył, czy obojętnie, czy może nieśmiało. Teraz wracał w maju, wezwany takim listem ojcowskim, po którego przeczytaniu stał się białym, jak chusta; przecież potem jadąc do domu, drzemał prawie całą drogę, i stary Jakób, którego wziął był ze sobą do Warszawy, bo mu się narzucił prawie gwałtem, musiał mu studzić herbatę, aby ją wypił.

Zaraz prawie poza miasteczkiem trzeba było jadącym do Starej Wsi skręcić z szosy na boczną drogę, która wiodła lanem pszenicy, wysoko już wyrosłej; to tu, to tam błyszczał wśród niej posawy maczek, białe rumianki kwitły po miedzach, pokorne żółte kwiatki czepiały się boków drogi, a choć rosa już obeschła, pozostało jeszcze coś jej świeżości w powietrzu, którem lekko było oddychać. Ta pierś zwłaszcza, dla której to było powietrze rodzinne, mogła je była wciągnąć w siebie, jak lekarstwo, jak zdrowie i Stanisław Starowiejski spuścił teraz okno karetki. Niebieskie jego czy z pod długiej rzęsy ciemnej spojrzwały w ten krajobraz dobrze mu znany. Czemu był piękny? nie byłby mógł odpowiedzieć, przecież patrzył, patrzył weń — wzrok biegł w przestrzeń otwartą, którą nieboskłon zdawał się zamykać. Kiedy był małym Stasiem, myślał, że do nieba jest bardzo blisko — tylko przejść to pole i las poza nim, aby się dostać do bramy... Może to było prawdą wtedy — może to było dotąd prawdą dla wielu ludzi, ale już nie dla niego. Dla niego było teraz do nieba daleko... daleko!

Wjechano w las i otwarty widok zamknął się dwoma ścianami zieleni. Las był sosnowy, bardzo stary, podszyty wszelkiego rodzaju gminem leśnym: brzezina, leszczyna, tarniowe krzaki, a niżej jeszcze dzika malina, jeżyny, paprocie, rosły, kwitły, buiły się całą siłą bijących w górę soków wiosennych; ale Stanisław snadź mniej lubił ten widok, bo cofnął głowę w tył.

Wiedział, że już pod lasem minął kopiec graniczny, że był na gruncie Starej Wsi — u siebie...

Lasu był kawał znaczny, ale droga była dobra, porządnie utrzymana, wolna od gałęzi; jechało się nią równo, a ptaki jeszcze śpiewały w całej swej wiosennej swadzie. Kosy świstały jak na pobudkę, wilgi, sikory odzywały się z każdego krzaka, gdzieś w głębi kukulka kukała.

Kukulka kukała uparcie; zdawało się czasem, że gniewnie, — czasem, że żalośnie, i Stanisław, który trzymał głowę opartą o tylne wysłanie karety, przypomniał sobie o niej gadkę wiejską:

Kukulka, to taka dusza jest zaklęta,

Co zgubiła szczęście — lecz gdzie?... nie pamięta!

Więc lata po lesie, i wola, i kuka:

Nikt nie odpowiada — bo nikt jej nie szuka!

Czy nie było tak z nim? Zostawił gdzieś szczęście swoje za sobą, zgubił w drodze i tylko on już go nie szukał. Odebrał od ojca list zimny i surowy, aby przyjechał natychmiast, dla uregulowania interesów, które tego wymagały — z jego powodu. Jest już więcej, niż pełnoletni, kończy lat dwadzieścia siedm, a z tego, jak sobie poczytna, on, ojciec, przekonał się, że ich drogi życia nie mogą być jednakowe. Kazał mu widzieć się z mecenasem Henrykiem, dawnym swym przyjacielem i towarzyszem młodości, który miał mu wyluszczyć, co ojciec rozumiał przez uregulowanie interesów.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Szeryf przewozi świętą chorągiew proroka z Mekki.

Kódz pod rządem Niemców. „Deutsche Lodzer Zeitung” donosi, że zebrania polskiej inteligencji w Towarzystwie krzewienia nauk społecznych, odbywające się co sobotę w Domu Ludowym przy ulicy Przejazd, zostały zabronione.

Zniszczenie panoramy Styki. Lwowskie dzienniki poddają za „Russk. Słowem” z Saratowa że runął dach budynku, w którym mieściła się panorama Styki p. t. „Cyrik Norona”. Panorama zniszczona została bezpowrotnie. Budynek razem z panoramą przeszedł za długi na własność miasta, które zupełnie obojętnie przyjęło braki w budynku i nie czyniło żadnych kroków zapobiegawczych.

JÓZEF GAŁUSZKA.

Wiosenną nocą.

Noc wiosny idzie nadwiślańskim brzegiem,
srebrzystą szatą szeleszcząc w traw lanie,
krokiem wolniutkim — długim, jak konanie,
dumając pewnie nad krzyżów szeregiem:

— Na tej równinie dawniej wczesną wiosną,
chyliło się morze zbóż w południe;
dziś — nie wiem czemu — na polskim zagonie,
same mogiły, same krzyże rosną...

Niema bieluchnych, kwitnących czereśni,
śnieżycą wiosny obsypanych wkolo;
brakło mi kwiatów do wianka — na czoło
i tej słowików rozedrganej pieśni.

A więc lechicka, tak śmiertelnie głucha,
jakby mieszkańcy wiecznym snem zasnęli;
wszędzie lśnią krzyże w księżycowej bieli
i wiatr, tak smutnie coś szepta do ucha...

Może zawcześnie przyszlam — ja, noc wiosny,
nad te uśpione, nadwiślańskie niwy;
kraj tu cmentarzy, naród nieszczęśliwy,
z nad mogił wieje jakiś hymn żaloszny...

I szła noc dalej — Niebios gwiezdny szlakiem,
jakby chmur smugi, pędzą lufy zbrojne;
błyskają miecze — śnać bieżą na wojnę,
gdzie z Tatr śnieżystych królewskim orszakiem...

Lecą, jak cienie — eicho — niebios drogą,
czasem podkova gwiazdę w przepaść strąca;
tylko zbroice lśnią w blasku miesiąca,
tylko proporce płoną krwi pożoga...

To nie wiatr cichy, gdzieś z nad mogił gwarzy —
cudną, wiosenną, księżycową nocą;
to szunią skrzydła pędzących husarzy, —
to gdzieś pod niebem sztandary łopocą...

Maj, 1915.



Nowy uniform Żuawów francuskich.

(20)

Męczennica.

(Powieść oryginalna).

Po chwili wyteżenia przełamał olbrzym wszystkie zapory i dotarł do powalonej pod nogami ludzi dziewczyny. Potem już szło wszystko z łatwością. Niósł i rozpychał ludzi, a ci się rozstępowali zmuszeni.

Za nim szedł krok w krok z rozwartymi ramionami ów młodzieniec, którego krzyk ściągnął na siebie uwagę puczciwego olbrzyma.

Nie długo trwało, a wydobyli się zupełnie z ciżby. Samson uszedł jeszcze kilkadziesiąt kroków i złożył nieprzytomne dziewczę na kamieniu pod ścianą Sukiennic.

Młodzieniec przykląkł nad dziewczyną, wziął jej rękę w swoje dłonie, zmżył głowę do jej twarzy i wotał kłimwym głosem:

— Otworz oczy moja najdroższa! To ja jestem przy tobie! już niebezpieczeństwo minęło!

Na wołanie tego głosu dziewczyna otworzyła oszy, rozglądając się chwilę nieprzytomnie, potem ją zupełnie obudziło gorące uściśnienie ręki:

— Ach, to ty jesteś przy mnie — wykrzyknęła radośnie, — przestraszyłam się okropnie, gdy mnie ludziska pod siebie porwali, — dodała głosem drżącym od trwogi, — myślałam, że już przepadę. Jakżeż tyś mnie wyrwał z tej ciżby?

— To nie ja ciebie wyratowałem, ale obcy, nieznajomy człowiek, któremu więcej zawdzięczam niż życie, bo życie nie ma dla mnie wartości, a ty mi jesteś droższa nad wszystko.

Młodzieniec powiedziawszy popatrzył nad siebie i ujrzał Samsona, stojącego z zalamanymi rękami i przypatrującego się z dziwnym zachwytem czulej scenie.

Młodzieniec zerwał się i rzucił mu się w objęcia; tulił się do niego, całował po twarzy i rękach, ścisnął i wotał jakby w gorączce:

— O, dzięki ci, dzięki najlepszy, nieznajomy człowieku, żeś wyratował z niebezpieczeństwa najdroższą kochankę moją! Gdybym mógł, dałbym ci skarby świata. Nie wiesz, jakim największym jesteś moim dobrodziejem. Wdzięczny ci jestem, jak Bogu. Kocham cię jak mego ojca. Mów, co żądasz odemnie, a wszystko uczynię... w piekło skoczę za ciebie!

— Więc to jest kochanka twoja? — pytał Samson cicho, a tak, jakoby to sam do siebie mówił.

— Coż to, nie wiesz o tem? — spytał młodzieniec zdziwiony — wszakże wie o tem cały świat, że my się od bardzo dawna kochamy, że się nigdy nie przestaniemy kochać, że od dzisiaj za trzy miesiące i dni czternaście będzie nasze wesele, skoro tylko ja sobie papiery potrzebne wyrobię i pozwolenie dostanę i urządzę pomieszkowanie dla niej, aby miała największą wygodę, aby nie zbywało jej na niczem i nie brakowało najmniejszego gwoźdźka, aby była ze mną zadowolona i nie pomyślała sobie, że ja o nią nie dbam jak należy, czego bym nie był zdolny uczynić.

— Bardzo proszę mój najlepszy panie, aby o mnie nie dbać tyle, bo ja tego nie potrzebuję, i proszę myśleć tylko o sobie i o własnych interesach, bo ja mam dość czasu myśleć tylko o sobie, i to mi wystarczy. A jeśli się o mnie myśleć będzie i będzie sobie mną kto głowę balał, ja się będę gniewała cały tydzień i nie popatrzę ani razu i nie pocałuję.

— Tego nie uczynisz! nie będziesz taka okrutna, tybys mnie wpędziła do grobu! — wykrzyknął młodzieniec i złożył pocałunek na ustach kochanki.

Samsonowi zapukało serce i zaszumiło w głowie jak w potoku. Zamknął oczy na widok pocałunku i począł od młodych zakochanych uciekać, nie zważając na ich cichą go zatrzymać wołanie, a powtarzał sobie w duchu raz po raz:

— Oni się kochają, oni się bardzo kochają, ci młodzi! Procesya jeszcze się była nie skończyła, ale olbrzym tym razem na nią nie wrócił.

Szedł Samson spiesznym krokiem z zwieszoną głową do domu, a przez drogę nachodziły go takie dziwne uczucia i myśli, jakie dotąd nie powstały nigdy w jego piersiach ni w głowie.

Zdało mu się, że skończyła się noc i zaświtał ranek, a promienie słoneczne rozświetliły cały widnokrąg przed oczyma jego ducha.

W piersiach jego było jak po wielkim orkanie lub trzęsieniu; przedarła się na wylot skorupa obojętności, a wypłynęła na wierzch namiętność uczucia, jak ogień buchający z głębin krateru.

Olbrzym chwytal się rękami za piersi i głowę, i dziwił się sam sobie; nie pojmował, co go zbudziło; zdało mu się, że go w jednej chwili przemieniło dotknięcie czarodziejskiej różeczki, że albo się skończyło, — albo poczęło zakłęcie.

Na oczach mu stało dwoje tulących się do siebie i szepających zakłęcia kochanków; ona przeobraziła się powoli w postać ukochanej Maryi, i zdało mu się, że on ją do siebie przyciska, mówi słodkie słowa i zaklina najśłodszymi imionami.

Doszedł do domu i przebiegł szybkim krokiem ogródek i wpadł do pokoiku Maryi.

Jacek stał z chmurnem czołem przy oknie; Marya krzątała się i zbierała porozrzucane rzeczy i suknie, w które ją zaopatrzyła staranność obydwoh przyjaciół.

Jacek się zmieszał, ujrawszy wcześniej niżli się spodziewać należało wracającego przyjaciela; Marya odwróciła głowę, aby ukryć widoczną bladłość twarzy.

Samson spostrzegł, że tu coś niezwykłego zaszło, widział nieład i Maryą stojącą nad zawiniątkiem rzeczy, przystąpił do niej i spytał:

— Czemu odwracasz odemnie głowę? Jesteś blada. Co znaczy to zbieranie rzeczy przy święcie? Czy ci tu niewygodnie i chcesz się przeprowadzić do innego pokoju? W tem coś jest, czego nie pojmuję. I Jacek milczy i spuszcza oczy do ziemi.

Jacek i Marya milczeli.

— Wy ukrywacie jakieś zamiary przedemną, — mówił Samson zaniepokojony, — nie rozumiem, dla czego macie tajemnicę! Tego dotąd nie było! Czyli nie jestem waszym przyjacielem? Mówcież ze mną otwarcie!

— Ale miejno rozum, przyjacielu! — odparł z ułanym spokojem Jacyeta, — tajemnicy przed tobą nie mamy, ale mimo to wolno nam robić niejedno i bez twojej wiedzy. Czy chcesz być podobnym do ciekawej i niepokojącej się kobiety? Jeśli ci ktoś nie chce odpowiedzieć, po prostu nie pytaj; to najlepsza rada!

— Dobrze mówisz, — powiedział odpowiedzią zaspokojony nieco Samson i zapomniał o niewczesnych swoich podejrzeniach; po tem dodał z głębokim westchnieniem: — nie dziw mi się, i dziwactwu menu Jacku; miałem przygodę, widziałem i słyszałem wiele dziwnych rzeczy... czuję, jak nie czulem dotąd... nie umiałbym opowiedzieć, jakie nachodzą mnie myśli!

— Teraz ja zaczynam być ciekawym... jakżeż to była przyгода?

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Podczaszanka.

Obrazy z przeszłości

2)

napisał

Mieczysław Krzywosąd-Kępieński

• Szczęśliwa wieść doszła i do Śmigła; cieszył się nią podczaszy wraz z swoją rodziną i właśnie wybierali się wszyscy do Poznania na przyjęcie dostojnego wodza, kiedy nadeszła wieść inna, wieść hiobowa, że młody Stanisław Chłapowski, jako oficer ordynansowy marszałka Davoust'a, w bitwie pod Auerstädt wysłany z rozkazami, został przez Prusaków zabrany w niewolę.

Trudno opisać boleść przeczacnej rodziny po otrzymaniu smutnej wiadomości, tem dotkliwszej, że nadeszła właśnie podczas ogólnej radości publicznej. Złamani smutkiem podczaszowstwo zaniechali przedsięwziętej wycieczki, jedna tylko podczaszanka nie straciła wrodzonej sobie energii i stanowczości w działaniu i chociaż z zażwionemi oczyma, dowodziła wymownie rodzicom, że teraz nie czas oddawać się smutkom, ale coś radzić potrzeba.

— Musimy użyć wszelkich środków — mówiła panna Barbara — któreby koniecznie pomogły Stasiowi. W domu płacząc, nic nie podolamy; jedźmy więc do Poznania i tam poruszmy wszystkie możliwe sprężyny, jakie mogą wyjednać jego uwolnienie. Jeżeli są tam już nasi, jeżeli przejeżdża generał Dąbrowski, to może odnajdziemy i Dezyderego albo go w przeciwnym razie sprowadzimy z Berlina. On przecież, jako adjutant cesarza, musi mieć wpływy i stosunki, które nam dopomóżd mogą a przynajmniej jako wojskowy, obznajomiony z takimi sprawami, poda nam radę, co czynić należy. Zostając w domu, nic nie poradzimy, a tonąc w bezsilnej boleści, przedłużymy tylko dobrowolnie i własny smutek i Stasia niewolę.

Rozumnie słowa i stanowczość córki dodały otuchy znękanemu podczaszemu; jej oczy pełne zapału i wiary w uwolnienie brata tak oddziaływały na matkę, że sama poczęła namawiać męża do projektowanej wycieczki. Ulegając kobietom, zdecydował się podczaszy do stanowczego kroku a niedługo poszóstna karetą unosiła go z córką drogą do Poznania, gdzie i my także udamy się za nimi, aby nie stracić wątku dalszej opowieści.

Posępna to była noc, wiatr huczał żałośnie po polach i lasach, zimny deszczyk zaczął kropkami o szyby karety, kiedy nasi przyjaciele, generał Dąbrowski i Józef Wybicki, zbliżali się coraz bardziej ku ziemi ojczyściej. Jak gdyby w nagrodę za ich poświęcenie, im bliżej byli kraju, tem się bardziej rozjaśniało niebo, a kiedy wjechali w granice dawnej Wielkopolski, powitały wodza legionów miryady gwiazd, błyszczących jasnym światłem na pogodnym firmamencie. Od samej granicy witały przybywających gości tłumy zgromadzonych, wydających serdeczne okrzyki na cześć generała.

W miarę im bardziej zbliżano się do Poznania, mnożyły się tłumy i coraz większy objawiał się zapal. Pomimo że generał przez właściwą swemu charakterowi skromność, chciał nocą zajeżdżać do miasta, aby uniknąć uroczystego przybycia, to przecież nie udało się dzielnemu wodzowi, bo tysiące ludu zgromadziło się pod Poznaniem, aby oddać hołd prawdziwym cnotom i zasłudze. Luna pochodni była krwawo jaśniejącym blaskiem, ubierając szkarłatem niebios zasiane gwiazdami, tysiączne okrzyki »niech żyje!« witały przyjaciół; a była to chwila nader uroczysta, kiedy rozentuzjazmowane tłumy wyprzęgly konie z pojazdu i obywatele »najbardziej dystyngowani« ciągnęli własnymi pierściami pojazd Dąbrowskiego do domu Mielżyńskich, gdzie stanął kwatery. Nie będziemy opisywać poszczególnie

wszystkich owacy ani uroczystych przyjęć, przytaczać wszystkich mów, których treść obracała się w sferze apologii zasług Dąbrowskiego: nie możemy wszakże pominąć jednego epizodu z tych wzniosłych chwil, a to z tej przyrzeczyny, że wywarł on stanowczy wpływ na życie naszej podczaszanki, również jak i na dalsze życie wodza legionów.

Było to 5. listopada, kiedy obywatelstwo Poznania wspólnie ze szlachtą okoliczną chcąc uczcić Dąbrowskiego, wyprawilo na jego cześć bal, mający zgromadzić wszystko, cokolwiek się odznaczało zasługą, pięknnością, rodem czy też stanowiskiem. Strumieniami światła zalaną salę ratuszową przybrano w festony, klomby i girlandy kwiatów; błyszczące kolumny broni stojące pośrodku albo rozsiane po ścianach w malowniczych grupach, dodawały świetności dekoracyi, zdobnej w godła miejscowe, herby prowincyi i miasta Poznania, tudzież herby rodziny Dąbrowskich; zdala dochodził nieustający turkot karet i powozów, co, jakby świętojańskie robaczki, migotały latarniami pośród gęstej nigiły zalegającej ulice Poznania. W sali gromadziła się tymczasem znakomitsza szlachta okoliczna, przybrana w poważne kontusze, honoratiores, oraz rada miejska i oczekiwały dostojnego gościa, aby w stosownej przemowie wyrazić mu cześć i hołd, jakim było jego imię otoczone. Damy w strojach balowych zbierały się w pojedyncze grupy, rozmawiając półgłosem, wyczekując z niecierpliwą ciekawością, wodza legionów i tego grona dziarskich oficerów, przybywali teraz do Poznania, celem organizacyi nowego korpusu. Niejedna z piękności zamarzyła pewnie o której z tych szlachetnych rycerskich postaci, z twarzą ogorzałą od słońca południa, ozdobioną cięciem palasza, blizną bagneta czy lancy; niejedna może pomyślała o cichem szczęściu rodzinnem przy boku towarzysza życia, co zbiegłszy kraj świata i dopełniwszy obowiązków, będzie chciał wypocząć obok wybranicy pani serca w ojczyściej zagrodzie, dopełniając żywota na polu obywatelskiej zasługi.

Okolo dziewiętej pojawiła się imponująca postać generała, w towarzystwie dwóch adjutantów Haukego i Pakosza; granatowy mundur generała zasiany złotem haftami, dodawał świetności tej męskiej postaci a zawieszony na piersiach order orła wielkiej legii honorowej i krzyż komandorski z żelazną koroną, obok pomniejszych odznak waleczności, dawały zewnętrzne dowody uznania jego wielkich zasług; liczny orszak oficerów polskich i francuskich w bogato złotem błyszczących mundurach otaczał postać dostojnego wodza. Wojewoda Działoński na czele obywatelstwa wystąpił ze stosowną przemową: Dąbrowski odnowiedział na nią po żołniersku, krótko, lakonicznie ale dobitnie, przypominając obowiązki dzisiejsze: krzenie wiary, zakończył wyrazem gorącej nadziei, że zapal ludności, jakiego ma dowód w tem uroczystem przyjęciu, pomoc cesarza i znane po wszystkie czasy poświęcenie ziomeków, osiągną pomyślny skutek niewątpliwie. Dąbrowski nie był nigdy oratorem; styl jego zwięzły, lanidarny nie odznaczał się nigdy wielkim krasomówstwem: ale słowa, które z jego ust płynęły, a raczej padały, były gromkie i krzenkie miały te wielką szczególnieść, że nawet w zwątpiały budziły niezachwianą ufność i pobudzały do szaleństwa odwagę w najniebezpieczniejszych momentach. W czasie o którym piszemy, Dąbrowski miał lat pięćdziesiąt.

Pomimo jednak przeirzałego wieku postać generała odznaczała się prawie młodzieńczą giętkością, organizm słownego wojownika, fizyczny, również jak moralny, był zdrow, hartowny i krzepki; nie ugięły tyloletnie trudy obozowe i przejścia tułaczne wyniosłej postaci, ale dodały jej powagi i rycerskiego uroku.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Nowi oficerowie.

Podajemy podobizny nowych oficerów 58 pp., którzy w marcu ukończyli szkołę oficerską, w kwietniu wyruszyli w pole. Są to przeważnie akademicy stanisławowscy i lwowscy, którzy dziś „orężem“ zdobywają sobie laury i uznanie. — Dotychczas — choć już sześć tygodni walczą w polu — wszyscy są zdrowi i ochotnie idą na Moskala.



Najniższy i najwyższy ranny w „Izarecie „Niemiecki dom“ w Mor. Ostrawie



Medale wojenne na cele tureckiego Czerwonego półksiężyca.



Z celi szpitalnej.

Podajemy obrazek z celi szpitalnej, charakterystyczny w swoim rodzaju. Są to ranni żołnierze rekonwalescenci, którzy już powracają do zdrowia.



Murzyni Senegalscy, którzy walczyli we Francji, w niewoli u Niemców. Jeden z nich odznacza się olbrzymim wzrostem.